

Dobrze się dzieje na operetkowej scenie

Napisał dr J. Młodziejowski



Stanisław Renz

Od czasu Zbigniewa Szczerbowskiego, który zakładał fundamenty poznańskiej operetki upłynęło dużo (czasami mętnej) wody. Młnęło kilka postaci mniej lub więcej w dziedzinie operetki fachowych. Zespół również zmienił w niejednym swe oblicze, rozbudowano scenę — o ile to się w ogóle dało zrobić — powiększono kanał orkiestrowy, wzmocniono orkiestrę, balet, chóry i wreszcie stało się, co być od dawna powinno: Stanisław Renz został kierownikiem artystycznym poznańskiej operetki. Uważam ten fakt za naczelną i najsprawiedliwszą zastugi Zygmunta Wojciechowskiego szty raczej w kierunku tradycyjności, czemu nie należy się zresztą sprzeciwiać. Tej także trzeba. Natomiast Stan. Renz, znający doskonale współczesną operetkę, na dno umiejący sobie radzić z instrumentacją (gdzie jej potrzeba) opanowany charakter dyrygentki i kierowniczy — postawił sobie za główne zadanie doprowadzić młody poznański zespół operetkowy do możliwie najwyższego poziomu. I wraz z Renzem wy dobyto się na taki właśnie „wierzchołek” w ostatnio zademonstrowanej nam operetce Abrahama „Bal w Sapporze”.

Orkiestra brzmi bardzo soczyście i pełno, nie tylko dzięki poszerzeniu przestrzeni życiowej. Słychać, że najczulszy neuralgicznie punkt — śmyczki — potraktowany został przez dyrygenta bardzo pieczołowicie. Unisona brzmiały okazałe i niemal zupełnie równo. Czystość przeważnie również całkowi cie mogła wybredny słuch za dowolić. Reszta zespołu grała składnie i precyzyjnie. Solo poszczególnych instrumentów, nie wyrwały się z

całości i brzmiały przyjemnie (trąbka, skrzypce, kontrabasy w momentach jazzowych). Zawsze z wielką przyjemnością słucham poznańskiego chóru operetkowego. Myślę, że w jego dobrym brzmieniu znaleźć można za sługę pierwszego chórmistrza, nieżyjącego już Tomasz Droszcza. Co więcej: rzadko słyszy się i widzi zespół tak ładnych kobietek, noszących swe suknie (a nieraz i ich piękne „symbole”) z prawdziwą gracją.

Stanisława Stanisławska na dobre rozszalała się swymi pomysłami choreograficznymi. Zawsze są zaskakujące i niezwykle, ale tym razem były w nadmiarze. Trzeba koniecznie skrócić taneczną rewię i to groteskę z arlekinem oraz o jeden „rzudek” girlsów. Co za dużo, to niezdrowo. Trzeba mi jednak stwierdzić, że Stanisławska potrafiła nasze młodzieńcze poznanianki w zadziwiający sposób parzyć. Były jakby paryżankami w miniaturze. Przede wszystkim na każdej ładniutkiej buzi kwitł czarujący uśmiech, każdy inny i co jeden — to miłszy. To wszystko zaś, co mięści się „pod uśmiechem” — było najlepszego gatunku i wy borowej jakości. Nawet typy we ewolucje girlsowych nóżek miały zawsze równiutką, jak pod sznurek linię. To wielki sukces Stanisławskiej. Tylko wołam o konieczne skróty.

Dekoracje Janasika są wiaś nie tego typu, że przeważnie odpowiadają intencjom autora operetki; kostiumy niezawsze urzekają pomysłowością... Brawo reflektorom za ich solowe pląsy w drugim akcie.

Na czele solistów stanęła Wanda Jakubowska. Każdym szczególnie śpiewu, gry, tańca, prozy, czy kuszącego obnoszenia ślicznych sukien



Wanda Jakubowska

(pідzam i negligów także) dawała do poznania, że jest dla Poznania prawdziwą primadonną prawdziwej operetki. Te pleonazmy mają swój sens! Ze w dniu prasowej premiery miała silny katar? A czy primadonna się z żelaza? Właśnie sztuka Jakubowskiej polega na umiejętnym dysponowaniu wokalnymi zasobami nawet w razie chwilowej niedyspozycji. Stare wygi były zadowolone i to bardzo. Katar, katar, ale głos i aparycja robią u Jakubowskiej swoje.

Jerzy Golfert (jako wesóły Turek) tryumfował na czele męskiego zespołu. Uśmiech, temperament, taniec, ewolucje były w najlepszym gatunku. Witold Ermow w roli markiza śpiewał nie dla siebie pisaną partię bardzo oględnie i rzeczowo. Jego peł na temperamentu „mażelka” Zofia Kuleszanka (jako

Tangolita) pokazała mnóstwo wodewilistycznych i tanecznych uroków. Czeszotka na schodach była podziwu godna. A oczy — te skośne oczy...

Hanna Bielanka od „Panny Nitouche” u Szczerbowskiego wydobyla się na wysokie poziomy wodewilistyki. Świetna w każdym szczególe (których jest mnóstwo, począwszy od takich nóg, jakich w Poznaniu często się nie widuje) aż po taniec i temperament. Ze śpiewem nie jest jeszcze najlepiej, ale i na to przyjdzie kolej. Janusz Golc pokazał najwyraźniej, jak doskonałym jest aktorem. Wyróżniłbym bardzo dodatnio Kazimierza Tomszę za pełnego dystynkcoji kamerdynera i jego mikromi mikę. Za to „Panna Bebe” była istotnie (jak to mówią dzieci) „be-be”...

No więc w sumie; przedstawię wienie tak olniewające i pomysłowe, jakiegom chyba dotąd w Poznaniu nie oglądał.